

Zapomniane chlubne karty naszej tradycji wolności

Kiedy w Polsce była demokracja, w Ameryce byli tylko Indianie i bizony

Prof. Andrzej Nowak

Spieramy się o wolność i jej znaczenie. Każdy rozumie ją na swój sposób, a jednocześnie widzimy, jak bardzo jej najważniejsze znaczenie – niepodległości od zewnętrznej przemocy – jest aktualne. Widzimy to choćby dzisiaj, kiedy z niezwykłą intensywnością nasilone zostały ostrzały celów cywilnych na terenie całej Ukrainy, która jest tylko o mieczę od nas.

Spróbuję zwrócić uwagę na głębokie zakorzenienie kwestii niepodległości w naszej tradycji, tożsamości oraz powiązaniu jej ze współczesnymi sprawami, które nas otaczają. Właściwie już u samych początków pisanych dziejów Polski, u pierwszego kronikarza, który służył na dworze Bolesława Krzywoustego – Anonima zwanego Gallem, znajdujemy taką

definicję wyjątkowości tego kraju, w którym znalazł się dziejopis: „Kraj pod tym zwłaszcza względem zasługuje na wywyższenie nad inne, że choć otoczony przez tyle wyżej wspomnianych ludów chrześcijańskich i pogańskich [które Gall wymienił wcześniej] i wielokrotnie napađany przez wszystkie na raz i każdy z osobna, nigdy przecież nie został przez nikogo ujarzmiony w zupełności”. A więc niezgoda na zniewolenie to podstawa naszej tożsamości, ale przecież także podstawa tożsamości każdego narodu, który chce być sobą. Nasze położenie geopolityczne sprawiło, że kiedy Polska pojawia się na mapie, istnieją już obok niej starsze i znacznie silniejsze wspólnoty historyczno-polityczne. Wspólnota ludów germańskich, najliczniejsza w Europie, dawała się we znaki starożytnemu Rzymowi jeszcze na 1200 lat przed pojawieniem się Polski. Na wschód od nas, mniej więcej od połowy IX w., czyli ok. 100 lat wcześniej od naszej, tworzyła się inna słowiańska wspólnota – ruska, która obejmowała obszary dzisiejszej Ukrainy, Białorusi i części Rosji.

Polska tworzy się więc w miejscu szczególnym, pomiędzy dwiema największymi, najsilniejszymi ludnościowo i dążącymi do ekspansji w Europie wspólnotami historycznymi: ruską i germańską. W pewnym sensie można powiedzieć, że leży między Rosją a Niemcami. Dlaczego w pewnym sensie? Dlatego, że Polska w swojej historii wolności przemieniła tę ruską wspólnotę (a w każdym razie wpłynęła na pewno na jej przemianę) w trzy różne podmioty. Dwa z nich – ukraiński i białoruski, znajdują się na granicy wolności. Jeden z nich już tej wolności jest bliżej – mam na myśli Ukrainę, dlatego budzi taką furję ze strony Moskwy. Przecież Ukraina, przez dzieje unii z Polską, wyrwana została z ruskiej

Św. Wojciech z rodu Sławnikowiców, biskup i męczennik, patron Polski. Obraz z kościoła NMP Królowej w Murzasichlu. Fot. East News



wspólnoty i przybliżona do Zachodu. Na początku była jednak jedna wspólnota, ruska, obejmująca to, co dzisiaj nazywamy łącznie Rosją, Ukrainą i Białorusią. Polska sąsiadowała więc zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie z wielkim, silnym sąsiadem. Bezpośrednio z krajem Polan, pierwszego plemienia, które było kolebką naszej państwowości, nie sąsiadowali co prawda Niemcy, ale Słowianie zachodni. Warto o nich wspomnieć, bo ich już nie ma, zostali wchłonięci, a właściwie zniszczeni przez ekspansję niemiecką, przez germańskich najeźdźców, którzy posługiwali się pretekstem niesienia chrześcijaństwa na pogańskie ziemie. Powodem, dla którego Polska – ziemia Polan – przetrwała, a nasi bezpośredni zachodni sąsiedzi nie, była przede wszystkim decyzja władcy Mieszka I, by przyjąć chrzest za pośrednictwem Czech i odebrać ten pretekst do podboju saskim ksiądzom.

To była bardzo ważna decyzja nie tylko w wymiarze geopolitycznym, ale także w wymiarze duchowym. Bardzo często można dzisiaj usłyszeć w mediach, że chrześcijaństwo to zniewolenie, że chrześcijaństwo to niewola – zwłaszcza katolicyzm. Jest to spojrzenie ideologiczne, radykalnie sprzeczne z historią, chrześcijaństwo bowiem przyniosło wyzwolenie w kilku zasadniczych wymiarach. Jeden może szczególnie warto przypomnieć. Niedawno przeczytałem wypowiedź naszej noblistki Olgi Tokarczuk, która przy okazji roztropnego komentarza do moskiewskiego najazdu na Ukrainę dała niestety upust swoim antykatolickim czy szerzej – antychrześcijańskim fobiom, ubolewając, że wciąż jeszcze wspomina się św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu, a byli to ludzie, którzy „gardzili prawami kobiet”. Oczywiście, jeżeli przymierzmy wrażliwość XXI-wieczną do tego, co ludzie sprzed ośmiu wieków myśleli o prawach poszczególnych grup społecznych, widzimy różnice – tyle, że nie wynikające z wiary, ale z czasów. Jeśli zaś spojrzymy na te zagadnienia historycznie, zobaczymy, jak wiele wolności dał kobiecie Kościół właśnie: przede wszystkim wyzwolenie spod absolutnej władzy ojcowskiej – *pater familias*. W starożytnym Rzymie kobieta nie miała żadnych praw, była rzeczą, przedmiotem do sprzedania przez ojca. To chrześcijaństwo, upominając się o godność każdego człowieka, a więc także słabszego, niepełnosprawnego, pozbawionego praw, spowodowało, że kobieta nie mogła być już sprzedawana jak rzecz, wymieniana np. na bydło, jak się to praktykuje w innych religiach, choćby w muzułmańskiej, do dnia dzisiejszego.

To jest właśnie jeden z przejawów znaczenia duchowego, jakie miało przyjęcie chrześcijaństwa, które można stre-



Ilustracja Jana Piotra Norblina przedstawiająca Izbę Poselską na Zamku Królewskim w Warszawie. Fot. MNK

ścić jednym słowem – wolność. Jeżeli chrześcijaństwo głosi przyrodzoną godność każdego człowieka, niezależnie od tego, w jakim narodzie się urodził, jakiej jest płci i w jakim stanie społecznym się znajduje, to prowadzi to najpierw do zakończenia pewnej wstydlivej praktyki, która charakteryzowała całą niechrześcijańską Europę w IX-IX w. – chodzi o handel niewolnikami. Mieszko także w nim uczestniczył, po to przecież przybył do Polski żydowski kupiec Ibrahim Ibn Jakub, autor wspaniałej opowieści o ziemi polskiej w X w. On przybył po niewolników, by w tej sprawie handlować z księciem. Ze względu jednak na przyjęcie chrześcijaństwa ten handel kończy się, w XI w. wygasa, a w XII w. nie ma już handlu niewolnikami na ziemiach polskich. To jest bardzo ważny element tradycji wolności.

Przyjęcie chrześcijaństwa nie ogranicza się jednak tylko do wymiaru wolności. Chrześcijaństwo podkreśla na każdym kroku, że każdy z nas może przyjąć łaskę albo ją odrzucić. Istota wolności polega na tym, że można wybrać dobrze i można wybrać źle. Przyjęcie chrześcijaństwa miało też ogromnie ważny wymiar kulturowy. Przez chrzest bowiem Polska otworzyła się na wspaniałą, rozwijającą się już kulturę łacińską. Tu, na tej ziemi, było biednie, nie było wielkich wzorów kulturowych. I nagle pojawił się, zaczerpnięty z wcześniej ochrzczonej Pragi, z Ratyzbony, z Rzymu wreszcie, ze stolicy łacińskiej cywilizacji. Wraz z chrześcijaństwem pojawiają się murowane kościoły, wzory malarstwa, pisarstwa – zaczynamy być uczestnikami wielkiej kultury łacińskiej, dziedziczącej to, co najlepsze z grecko-rzymskiej starożytności. Tego początek jest w chrzcie – w otwarciu się na Europę ochrzczonej.

Głębsza podstawa wolności, wywiezionej z chrześcijaństwa, a więc poczucie własnej godności, szczególnie sprząga się w naszej historii z dwoma innymi aspektami wolności. Pierwszy z nich to wolność wewnątrzpolityczna, co rzeczywiście wynika ze szczególnej historii Polski. Kościół pierwszy zagwarantował sobie wolność od ingerencji państwowej. Ze względu na rozbięcie dzielnicowe, które zapanowało po czasach Bolesława Krzywoustego, na oddziaływanie tradycji chrześcijańskiej i na cały szereg innych okoliczności, w Polsce w połowie XV w. możni panowie zagwarantowali sobie, w ślad za dostojnikami kościelnymi, którzy wywalczyli sobie wolność prawną, tzw. immunitety od bezkarnych akcji państwa, czyli księcia, który mógł człowiekowi zabrać wolność, zabrać mu ziemię. Nie należy z tego względu źle patrzeć na Kościół, że wywalczył sobie owe immunitety pierwszy, ponieważ zaraz za Kościołem poszła następna grupa, czyli panowie świeccy. Drogę do wolności toruje Kościół, potem idą nią możni. Długo trzeba będzie jeszcze na to czekać, ale przyjdzie czas i na mieszczan i chłopów, na nas wszystkich.

Tak od góry idzie ta droga do wolności, do wyzwolenia od wszechwładzy państwa. Tam bowiem, gdzie wszechwładne jest państwo, nie ma wolności. Otóż w Polsce, już w poł. XII w., pojawia się w północnej Wielkopolsce rycerz Zbylut, który przy fundacji klasztoru w Łeknie podpisuje się *Civis Polonis* – obywatel Polski. Dlatego jest to ciekawe, że w żadnym innym kraju europejskim w poł. XII w., w żadnym źródle nie występuje wówczas takie określenie jak obywatel Francji, Anglii, Włoch, Niemiec etc. Są obywatele poszczególnych miast, np. Wenecji, Ratyzbony, Londynu, ale w żadnym wypadku obywatel państwa.



Fundatorzy Uniwersytetu Jagiellońskiego (Studium Generale, później – Akademia Krakowska). Po prawej widoczni – Kazimierz Wielki i królowa Jadwiga Andegaweńska, pośrodku modlący się Władysław Jagiełło. Obraz Zdzisława Pabisiaka na podstawie grafiki „Typus foundationis”. Fot. Collegium Maius, Muzeum UJ

W Polsce zaś zaczyna rodzić się szczególnie połączenie poczucia obywatelstwa. Czym jest obywatel – obywatel jest człowiekiem wolnym i odpowiedzialnym. Wolnym w pewnej wspólnocie, która tu jest identyfikowana nie jako mała wspólnota miejska, czy nawet powiatowa, ale ta duża wspólnota – polska. Ktoś się identyfikuje z Polską, czuje się w niej wolny i dlatego odpowiedzialny, bo to jest istota obywatelstwa. Historia obywatelstwa w Polsce symbolicznie zaczyna się przy założeniu klasztoru w Łeknie. Ale nie tylko ten jeden, przypadkowy, można powiedzieć, dokument jest tego świadectwem. Są nim kolejne zdobycze przywilejów rycerskich, a potem szlacheckich, które gwarantują tę wolność. Z czasem doprowadzą one do przywilejów, które w czasach PRL-u traktowane były jako pewnego rodzaju przywilej wykluczający innych. Trzeba na to spojrzeć inaczej.

Przywileje szlacheckie są historią wolności w Polsce. Ich najgłębsze fundamenty zostały położone w XV w. *Neminem captivabimus nisi iure victum* – czyli nikt nie zostanie pochwycony (uwięziony) przez księcia inaczej niż wyrokiem odpowiedniego sądu. Książę, czyli państwo, nie

może zatem bezkarnie nikogo wrzucić do więzienia, zabrać mu majątek. To jest podstawa wolności ufundowana w polskim prawie w 1425 r. Dla przykładu, w Anglii, nie bez racji uważanej za jedną z ojczyzn wolności, analogiczny akt *Habeas Corpus Act*, zabezpieczający człowieka przed bezprawnym prześladowaniem przez państwo, został wydany w 1679 r. Tymczasem w Polsce szlachta wywalczyła to sobie między wiekiem XII a XV, ostatecznie w 1430 r. To jest coś bezcennego, być wolnym od przemocy państwa. Ale czy być wolnym od przemocy państwa znaczy traktować państwo jako wroga? Postawa obywatela jest inna – trzeba łączyć wolność obywatelską, od bezprawnej przemocy państwowej, z poczuciem własnej odpowiedzialności za to państwo.

Drugim szczególnym elementem, który chcę uwypuklić w historii polskiej wolności, jest połączenie z nią dążenia do niepodległości. Już Gall Anonim podkreślał, że od początku nie chcieliśmy podlegać nikomu, nie daliśmy się bez walki nikomu podporządkować. Łączy się to od samego początku z pewnego rodzaju zewnętrznym zadaniem, jakie owej polskiej wspólnocie zo-

stało postawione. Po raz pierwszy Polska, w sensie „ziemia polska”, której mieszkańcy są nazywani Polanami, pojawia się jako łacińskie *Polanorum* w „Żywocie świętego Wojciecha” spisany w Rzymie przez Brunona z Kwerfurtu w 1000 r., trzy lata po śmierci męczennika. Nigdzie wcześniej słowo to nie występuje. Tu zaś pojawia się w kontekście ogłoszenia przez św. Wojciecha swojej misji Prusom, do których przybywa w 997 r. Św. Brunon z Kwerfurtu wkłada w usta św. Wojciecha takie słowa: „W imieniu Polan, czy też Polaków, nad którymi rządzą (sprawuje chrześcijański książę Bolesław (Chrobry), przychodzę do was dla waszego zbawienia”. Pierwsze skojarzenie ze słowem „Polska” to – misja. Polska – to nie tylko „władza” i „wolność” – bo to w przypadku każdej wspólnoty jest zrozumiałe. Nikt nie chce podlegać innym, chyba że ma niewolniczą mentalność (to się czasem zdarza). Ale połączenie tej wewnętrznej wolności z misją zewnętrzną jest szczególnie. Ledwie trzydzieści lat upłynęło od chrztu księcia Mieszka, a już jego syn i następca, Bolesław Chrobry, podejmuje misję w stosunku do sąsiadów pogan i wysyła na nią biskupa Wojciecha z rodu

Sławnikowiców. To nie jest przypadkowa, jedna misja, w ślad za nią wysłana zostaje następna, do Jaćwingów. I ta misja otwiera się na najbardziej bitny, można tak powiedzieć, zakres polskiej roli historycznej – otwiera się na wschód, na Ruś.

Dokładnie w tym samym momencie, w którym ów Zbylut w poł. XII w. określili się jako obywatel Polski, biskup krakowski Mateusz odpowiadał w 1147 r. na wezwanie św. Bernarda z Clairvaux, do udziału ksiąząt polskich w krucjacie – w odzyskaniu terenów utraconych w Ziemi Świętej. W odpowiedzi na pytanie, czy mogłyby „niezbożne obrządki Rusinów” wypełnić, biskup Mateusz odpowiada, że Polska jest przeznaczona do tego, ażeby wpłynąć na ten wielki, sąsiedni świat ruski. Używa określenia *Ruthenia quasi est alter orbis*, czyli „Ruś jest jakby innym światem”. Świat ten jest nam pod pewnymi względami bliski, bo rozumiemy ten język bardziej niż inne, ale jednocześnie różnimy się obrządkiem, obyczajami. Przypomnę, że Ruś przyjęła chrzest w obrządku bizantyjskim, odmiennym od łacińskiego, skonfliktowanym z nim. I to właśnie przyjęcie, już w połowie XII w., przez biskupa krakowskiego misji, że Ruś jest naszym zadaniem, że mamy na nią wpływać, jest niezwykle ważną charakterystyką naszej wolności. Nasza wolność nie będzie bezpieczna, nie będziemy niepodlegli, jeżeli nie będziemy skutecznie pełnili naszej misji w kierunku wschodnim – zmieniania świata ruskiego, przybliżania go do cywilizacji łacińskiej.

Przelomem pod tym względem była oczywiście unia z Litwą zawarta w 1385 r. W tym czasie Litwa ogarnęła już ogromną część świata ruskiego, całą dzisiejszą Białoruś i Ukrainę; wtedy była to część Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zatem w momencie, kiedy Jagiełło poślubił Jadwigę, dziedziczkę Korony Polskiej, kiedy zjednoczone zostały dwa państwa – Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie – w orbicie wpływów kulturowych znalazła się nie tylko Litwa, w wąskim tego słowa znaczeniu, ale też duża część świata ruskiego. Wpływy te szły tylko w jednym kierunku – z bardziej rozwiniętego, bliższego zachodnim, łacińskim centrum Królestwa Polskiego – na wschód. Odnowiony w 1400 r. przez Jagiełłę Uniwersytet Krakowski miał służyć właśnie tej misji. Po to dała Jadwiga swoje klejnoty, a Jagiełło wyasygnował duże sumy, by tę fundację na nowo ożywić i by służyła ona misji na wschodzie. Drugim rektorem odnowionego uniwersytetu był symbolicznie krewniak Jagiełły, książe drohicki Jan, po to właśnie, żeby pokazać:

to jest też dla was – Litwinów, Rusinów. Nie tylko dla Królestwa Polskiego, w wąskim tego słowa znaczeniu, ale ma służyć wielkiemu zadaniu, jakim jest przybliżenie ogromnego świata ruskiego do łacińskiego wzoru cywilizacji opartego na wolności, prawie, zabezpieczeniu wolności.

Atrakcyjność tego modelu wolności, który już w tym czasie jest czymś oczywistym dla szlachty polskiej, sprawdza się w III akcie unii polsko-litewskiej (bo tych unii było wiele kolejnych formuł) – Unii Horodelskiej w 1413 r. Tam, po pięknej preambule, dokonał się niezwykle ważny akt przyjęcia szlachty litewskiej i ruskiej do herbów szlachty polskiej, rycerstwa polskiego. To już nie będzie tylko unia dwojga ludzi, małżeńska unia Jagiełły i Jadwigi, przez którą połączą się państwa. To nie będzie tylko unia, w której porozumie się tylko Jagiełło z Wielkim Księciem Witoldem, swoim kuzynem. Będzie to unia, w której zaczną się jednoczyć rodziny – elity oczywiście. Zaczyna się od 47 rodów, ale to już oznacza początek zbliżenia społecznego, początek przeniesienia tej misji wolności na poziom szlachty.

Tę misję wolności niosło to, co zawsze powinno, żeby była to wolność dobra, czyli miłość. I o tym właśnie mówi akt preambuły do Unii Horodelskiej. Ten przepiękny akt powinien być uczony w szkołach, niestety, młodzież nie ma czasu słuchać takich starych tekstów, a też w podręcznikach, przepisywanych z małymi wyjątkami po PRL-u do dzisiaj, akt ten się nie znalazł, a powinien. O ile jest piękniejszy od jakiegokolwiek aktu unii zawieranych także współcześnie. Zawarta 2 października 1413 r. Unia Horodelska zaczyna się tymi słowami: „Wiadomo wszystkim, że nie dostąpi zbawienia, kto nie będzie wspierany tajemnicą miłości, która nie działa opacznie, lecz promieniując własną dobrocią zwaśnionych godzi,

pokłóconych łączy, odmienia nienawiści, uśmierza gniewy, i daje wszystkim pokarm pokoju. Rozproszone zbiera, znużone krzepi, szorstkie wyrównuje, krzywe prostuje, wszystkie cnoty wspomaga, nikogo nie krzywdzi, wszystko miłuje, tak że ktokolwiek w jej ramiona się ucieka, znajdzie bezpieczeństwo i nie będzie się obawiał niczyjej napaści. Przez nią prawa się tworzą, królestwa rządzą, miasta porządkują i stan Rzeczypospolitej do najlepszego końca dochodzi. Ona wszystkich cnot pierwsze miejsce zajmuje, a kto nią wzgardzi, wszelkie dobro utraci”.

Trudno o lepsze przypomnienie tego, co najważniejsze nie tylko w historii naszej, ale historii w ogóle. Jeżeli między mieszkańcami jednej wspólnoty nie ma miłości, to nie ma samej wspólnoty; rozpada się ona, wszystko idzie w gruzy. To niebezpieczeństwo Rzeczypospolita przećwiczyła, jeśli można to tak trywialnie określić, na własnym przykładzie. Kiedy podziały wewnętrzne zaczęły podważać ową wspólnotę, kiedy zaczęły ją niszczyć w imię rywalizacji o interesy partykularne wspólnot regionalnych, religijnych – zwłaszcza od momentu, kiedy protestantyzm rozbił wspólnotę łacińską, czyli od XVI w. – także wspólnot społecznych (one także będą miały tutaj swoje znaczenie), konflikt zaczął dominować nad poczuciem jedności. Na pewno może być tutaj wspomniany egoizm szlachecki; nie wszystko, co szlachta zrobiła w tej wspaniałej historii polskiej wolności, zasługuje na pochwałę. Szlachta także uczestniczy w tym kryzysie miłości, który prowadzi do kryzysu Rzeczypospolitej, m.in. XVII-wiecznego potopu, wojen kozackich, w pewnym sensie także do sparaliżowania systemu parlamentarnego Rzeczypospolitej.

Zatrzymam się chwilę na problemie polskiej instytucjonalnej historii wolno-



XIX-wieczna rycina przedstawiająca kościół katolicki w Kijowie (widoczny po lewej). Fot. Polona

ści, czyli polskiego sejmowania. Kiedy media z lubością powtarzają określenie: „Polska jako młoda demokracja”, i czasem używają go zachodni mężowie stanu, myślę wtedy, że koniecznie trzeba odświeżyć w naszej pamięci fakt, że polski Sejm zbierał się już regularnie od 1468 r. na zasadzie wyborów z poszczególnych powiatów, wyłaniających po dwóch, czasem więcej posłów. Krzysztof Kolumb nie wybrał się jeszcze wówczas w podróż do Ameryki, a amerykańscy politycy mówią często „młoda demokracja w Polsce”. Kiedy w Polsce była demokracja, w Ameryce byli tylko Indianie i bizony. I nie było takiej demokracji, tzn. takiej instytucji reprezentacji obywatelskiej, która tak skutecznie działała w oparciu o kilkaset tysięcy wolnych ludzi. Tego nie było także w żadnym innym kraju obywatelskim. Oczywiście, najstarszy jest parlament w Islandii, stary jest też parlament w Anglii, ale znacznie mniej tam było wolnych ludzi. Był parlament w Hiszpanii, był we Francji, ale kolejni królowie go nie zwoływali, więc tego rodzaju instytucji jak w Rzeczypospolitej nie było. A w Polsce Sejm zbierał się co najmniej raz na dwa lata, czasem nawet dwa razy do roku, według ustalonej procedury, poprzedzony wyborami w sejmikach.

Ta wspaniała instytucja funkcjonowała bardzo dobrze przez blisko 200 lat. Kryzysowi uległa w momencie potopu – najazdu szwedzko-moskiewskiego i wojen kozackich. Ta tradycja będzie jednak trwać dalej, aż do 1793 r. – do niesławnego ostatniego Sejmu w Grodnie. A więc mamy w naszej historii przeszło 300 lat funkcjonowania Sejmu i sejmików. Do tego obrazu trzeba jednak dodać coś jeszcze, bo czasem słychać przypomnienie – no tak, była tradycja polskiego sejmu, ale to była tylko szlachta. Kontrargumentem do tego zarzutu jest nie samo stwierdzenie, iż szlachta była najliczniejsza w Europie, bo to prawda, liczyła od 6 do 9 proc. ogółu ludności; tyłu było ludzi wolnych. Przypomnę, że w Anglii, pionierce postępu liberalnego, dopiero w 1833 r. reformy poszerzą krąg uprawnionych do głosowania i uczestniczenia w życiu politycznym powyżej 1 proc. ludności. Wcześniej zatem tylko 1 proc. ludności Wielkiej Brytanii mógł brać udział w tym, w czym w Rzeczypospolitej brało udział 6 do 9 proc. We Francji, czy w innych wolnych krajach, był jeden wolny człowiek – król, książę, innych wolnych nie było.

Tradycja wolności i samorządności w Polsce nie opiera się jednak tylko na stanie szlacheckim. Otóż ta tradycja, która promieniowała na wschód w procesie misji wolnościowej, to jest także tradycja mieszczańska i chłopska. Zapominamy, że więcej niż połowa wsi w Koronie dysponowała własnym samorządem i wła-

Oddziały strzelców na Oleandrach w Krakowie. Widoczne karabiny Manlicher wz. 1890 ustawione w kozły. Fot. NAC

snymi ławnikami; te instytucje rządowe działały na wsiach bardzo regularnie. Wieś w znacznym stopniu decydowała o sobie, uczyła się odpowiedzialności, choć oczywiście był folwark, była pańszczyzna. Warto zapoznać się z nową książką „Chłoptwo” krakowskiego uczonego Mateusza Wyźgi, który od dwudziestu paru lat źródłowo zajmuje się historią chłopów. Można w niej znaleźć odpowiedź na te ideologiczne brednie, które zalały polskie media w ostatnich latach, o ucisku, krzywdzie, buncie i nienawiści. Historia chłopów jest inna, bardziej skomplikowana, jest m.in. również wspaniałą historią chłopskiej samorządności. Jeszcze silniej zakorzeniła się w tradycji Rzeczypospolitej samorządność miejska. Tymczasem znów słyszymy w opowieściach o I Rzeczypospolitej, że szlachta uciskała mieszczan i chłopów, że nie było innej szlachty niż uciskająca. A przecież był to czas, w którym w każdym mieście, z wyjątkiem miast prywatnych, kwitły samorządy. To akurat nie jest specyfika polska, samorządy miejskie przyszły do Polski z zachodu, z Niemiec; to jest prawo magdeburskie. Nie ma powodu mówić, że z zachodu przychodzą tylko rzeczy złe, w żadnym razie tak nie było.

Tę dobrą tradycję samorządności miejskiej Polska rozszerza na wschód, na tym polega fenomen Rzeczypospolitej. Często przypominam ten fakt, bo daje on do myślenia. Jedynymi miastami, w których zbudowano pomniki prawu, są Kijów i Mińsk. Na początku XIX w. Kijów postawił pomnik prawa magdeburskiego, a w jego ślady poszedł Mińsk, budując analogicznie pomnik prawa magdeburskiego w momencie, kiedy przez chwilę był wolny w latach 1990. Dlaczego? To prawo przyszło przez Polskę. To Polacy przynieśli tam wzorce samorządowe opierające się na wzorze magdeburskim. Na początku XVI w. Kijów i Mińsk otrzymały to prawo, którego istotą jest samorząd – miasto rządzi się samo, wybiera swego wójta, ma swoją ławę, swoich przysięgłych, decyduje o swoich sprawach. Ludzie są zatem wolni dzięki temu, że mogą decydować o swoich sprawach. I to jest powód, dla którego Kijów chciał się tym prawem szczycić, a Mińsk chciał go pod tym względem naśladować.

Poprzez Rzeczpospolitą prawo magdeburskie przeszło na właściwie wszystkie miasta dzisiejszej Białorusi i Ukrainy, które wtedy istniały. I to jest także dziedzictwo Rzeczypospolitej – rozszerzenie wolności nie tylko na szlachtę, przyjmowaną do herbów, ale także na miasta obecnej



Białorusi, Ukrainy i Litwy, które szczycą się tą tradycją. To jest także zapomniana dzisiaj karta naszej tradycji wolności. Pamiętajmy też o niej.

Wiemy jednakże, że wolności ła-two jest nadużyć, a korzystają z tego ci, którzy nie szukają wolności, ale podboju – imperia. Polska miała nieszczęście geopolityczne, czy może raczej wyzwanie, o którym powiedziałem już na wstępie – istnieć pomiędzy silniejszymi od siebie wspólnotami politycznymi, zorganizowanymi inaczej niż Polska. W szczególności imperium moskiewskie oparte było na antytezie ustrojowej – absolutnej władzy jednego człowieka, wielkiego księcia Moskwy, później cara, który w imię powiększania swojej potęgi, wewnętrznej i zewnętrznej, może z poddanymi i z sąsiadami zrobić wszystko. To jest istota moskiewskiej autokracji, ale w jakiejś mierze funkcjonuje to także w imperiach zachodnioeuropejskich. Ta właśnie siła zewnętrznych ekspansji, zorganizowanych dla podboju, dla imperialnych zdobyczy sąsiadów sprawia, że polskie imperium wolności – które nie jest nastawione na podbój inny niż eksport swoich instytucji, a więc bez użycia siły zbrojnej – ulega kryzysowi. Sąsiedzi korzystają bowiem nie tylko z siły militarnej, ale i z siły pieniądza, który służy do przekupywania polskich elit, żeby te sparaliżowały polską wolność



cji na wcześniejsze nieco słowa prymasa Polski Teodora Potockiego, który – w odpowiedzi na pogwałcenie elekcji – wyraził najkrócej istotę polskiej wolności: „jesteśmy wolnym narodem i nikomu służyć nie będziemy”. Rozwinął to Stanisław Konarski: „Rzeczpospolita jest najwyższą (...) swoich praw niepodległą jakiegokolwiek władzy obcych monarchów. Nie można rozkazywać temu, kto nie zależy od kogoś innego. Ten, kto nikomu z wyjątkiem Boga nie jest podległy, nikogo z wyjątkiem Boga nie jest zobowiązany słuchać. Największą więc jest niegodziwością w jakimkolwiek królestwie, czy w dobrze zorganizowanej Rzeczypospolitej, aby cudzoziemcy publicznie oskarżali obywateli i urzędy, a nawet samą Rzeczpospolitą o pogardę praw, jakby chępiąc się, że oni lepiej myślą o Rzeczypospolitej niż jej własni obywatele. Każdej Rzeczypospolitej należy mieć na pierwszym miejscu wzgląd na własną rację stanu, potem dopiero na cudzą. Godność i korzyści Rzeczypospolitej nie powinny być podporządkowane obcym interesom. Najgorszy sposób przekonywania jest zaś wzbudzać strach, odpowiedni dla umysłów niewolniczych nie zaś wolnych. Wszystko się traci w wolnej Rzeczypospolitej, gdy została utracona wolność”.

Proste słowa, ale wyrażające coś, co należy przypominać także współcześnie. Nie może być tak, żeby cudzoziemcy mówili nam, co jest dobre dla Rzeczypospolitej, tak jak gdybyśmy sami tego nie wiedzieli. Słowa same jednak nie wystarczą, dlatego w tym samym 1733 r. wybucha pierwsze powstanie w obronie niepodległości Rzeczypospolitej, Konfederacja Dzikowska, która w akcie protestu przeciwko obcej dominacji będzie przez cztery lata tułała się ze swoimi źle zorganizowanymi oddziałami. Dopiero 30 lat później pójdzie za nią Konfederacja Barska, potem Powstanie Kościuszkowskie, następnie klasyczne powstania – Listopadowe, Styczniowe.

Historię polskiej wolności można by opisywać dalej szlakiem owych powstań przy tradycji, która biegnie przez cały wiek XIX aż do zwycięstwa, którym było odzyskanie niepodległości. I to trzeba przypominać. Trochę uczyniły to, na szczęście, obchody stulecia odzyskania niepodległości sprzed czterech lat. Przypomniły, że sens tych wszystkich powstań nie był pesymistyczny; one nie przegrały. One wygrały, bo ich końcem był listopad 1918 r. I to podkreślał Józef Piłsudski, wychodząc w 1914 r. ze swoją drużyną z Oleandrów. (Tak się składa, że od urodzenia mieszkałem na tej ulicy, więc to dla mnie także „lokalnie” ważna tradycja). 5 sierpnia spotykając się ze strzelcami, którzy mieli za chwilę wyruszyć, Piłsudski przypomniał, że dzieje się to dokładnie w 50. rocznicę stracenia Ro-

od środka – to się da zrobić. Przekupstwo jest środkiem oddziaływującym na naszą słabą naturę; nie tylko w przypadku polskich elit bywa skuteczne. Ale od połowy XVII w. te właśnie elity, przekupywane przez obce dwory – pruski, brandenburski, austriacki, moskiewski, francuski – zaczynają kupczyć losem Polski. Zaczynają paraliżować kraj poprzez swoje możliwości nadużycia wolności, przez prawo weta, które samo w sobie nie jest złe, bo czasem trzeba bronić praw mniejszości głosem sprzeciwu wobec większości. W momencie jednak, kiedy to weto używane jest nie dla interesu ogółu, który lepiej rozumie mniejszość, ale po to, żeby zniszczyć całą wspólnotę, rozpoczyna się proces, którego doświadczyła Rzeczpospolita.

Zanim jeszcze została wymazana z mapy pod koniec XVIII w., dostała się pod kontrolę sąsiadów. Po raz pierwszy Rzeczpospolita poczuła jej moc w 1733 r., podczas pierwszej nie-wolnej elekcji; istotą wolności obywatelskiej jest wszak możliwość wyboru władzy. Polscy obywatele mieli tę możliwość, wybierając króla. Robili to czasem godnie, czasem chaotycznie, ale po swojemu. W 1733 r. postanowili podczas elekcji zgromadzonej w Warszawie wybrać Stanisława Leszczyńskiego. Cała szlachta, 11 tys. obywateli, podpisała akt jego wyboru, ale przeciw temu wyborowi

była caryca Anna Iwanowna i cesarz Karol VI. I to oni zdecydowali, że nie będzie tak, że Polacy będą mogli wybrać sobie, kogo chcą. Polacy mają mieć taką władzę, jakiej chce Rosja, jakiej chce cesarz. Rosja wysłała trzy korpusy wojska, żeby „przekonały” Polaków, kto ma być ich królem. Owe trzy korpusy zajęły Polskę, zmusiły Stanisława Leszczyńskiego do ucieczki do Gdańska, gdzie ten się zresztą bohatersko bronił przez kilka miesięcy przed wojskami moskiewskimi.

Dziesięciokrotnie mniejszą liczbą głosów, pod bagnetami rosyjskimi wybrano Augusta III. To była pierwsza jawnie, bezczelnie nie-wolna elekcja, w której sąsiedzi zadecydowali bezprawnie, kto ma rządzić Polską. Polska straciła wtedy jawnie, bezdyskusyjnie niepodległość. Reakcją na to była z jednej strony myśl polityczna, która podnosiła znaczenie niepodległości – że wolność to nie jest tylko weto rzucone własnemu królowi, ale przede wszystkim wolność od zewnętrznych nakazów; wolność od zewnętrznych dyrektyw, które mówią nam, co mamy robić, jak gdybyśmy sami nie wiedzieli. Jako pierwszy sformułował tę myśl Stanisław Konarski, mądry przedstawiciel zakonu pijarów, który w znakomity sposób w XVIII w. zreformuje edukację polską. Zaczął od wydanego anonimowo w 1733 r. tekstu *Listy poufne w czasie bezkrólewia*, pisząc słowa w reak-

mualda Traugutta, przywódcy Powstania Styczniowego. Jasno też powiedział, że wtedy to powstanie się nie skończyło, że oni mają je teraz dokończyć – zwycięsko. I dokończyli je – chłopcy Piłsudskiego, chłopcy Hallera i innych formacji, które walczyły za polską niepodległość.

Mówię o tym, żebyśmy umieli odpowiedzieć na ten bezsensowny stereotyp, że polska niepodległość to tylko bezsensowna martyrologia, przegrane powstania, które nic

rzy dążyli do niej i dalej dążą do tego, żeby ją ubezpieczyć w momencie, kiedy geopolityczna zmiana umożliwiła nam usunięcie z granic Rzeczypospolitej radzieckich (rosyjskich) wojsk.

Historia naszej walki o wolność trwa nadal. Historia, która stawia pytanie, czy umiemy wartość wolności przekazać innym. To jest dzisiaj nasza misja, bo widzimy, że misja przekazania wolności naszym wschodnim sąsiadom w istocie powiodła się. Dowodzą tego dzisiaj Ukra-

karmieni narracją: jesteście marni, bo wszystko, co dobre, jest na zachód od was, w Polsce nic dobrego nie było; narracją – kształtującą postawę służalców wobec tych, którzy wiedzą lepiej.

Jak przełamać ten problem cywilizacyjny, z którym dzisiaj mamy do czynienia? Jest to wszak zadanie najważniejsze dla naszej historii wolności w XXI w. Sądzę, że są dwie szanse, które mogą nam w tym pomóc. Jedna to próba zakorzenienia wyobraźni tej wolności poprzez odwołanie do historii lokalnej, która zapisuje w sobie ślad wielkiej historii polskiej wolności. Przecież w każdym miejscu w Polsce są dzieci, wnuki, prawnuki tych, którzy we wrześniu 1939 r., bronili Polski, a było ich milion; tych, którzy byli w AK, Batalionach Chłopskich, w NSZ, w różnych formacjach Państwa Podziemnego. Byli to miliony Polaków, więc oni mają w dzisiejszej Polsce wiele milionów swoich dziedziców, wystarczy to przypomnieć. Trzeba przypomnieć także tych, którzy służyli Polsce w „Solidarności”, która liczyła 10 mln tych, którzy ją wspierali aktywnie i są oni rozsiadani po całej Polsce. Trzeba przypomnieć rodzinną historię wolności młodym ludziom.

Drugą szansę odnowienia poczucia sensu i znaczenia wolności zakorzenionego w polskiej historii daje nam zło, które tę wolność niszczy. W jego kontekście możemy wyraźniej zobaczyć dobro, które jest zagrożone. To paradoks, ale taką szansę tworzy swoją agresją na Ukrainę Władimir Putin, bo pokazuje, do czego prowadzi zniewolenie, brak własnego państwa, kapitulacja przed złem. Wtedy warto może zacytować jako słowo nadziei fragment jednego z ostatnich wierszy laureata literackiej nagrody Nobla, Czesława Miłosza. Wiemy, że jego stosunki z polską niepodległością były różne, ale na pewno był człowiekiem, który cenił sobie wolność. W tym wierszu, będącym opisem Polski z 2003 r., nuta nadziei wbrew beznadziejności cywilizacyjnej początku XXI w. brzmi szczególnie mocno. *Może to jednak źle, że rozpada się samo/pojęcie obowiązku wobec ojczyzny,/ że gorliwi służalcy i dobrze płatni oprawcy/ nie tylko nie poniosą kary, ale siedzą/ w swych willach i piszą pamiętniki, /odwołując się do wyroku historii?/ Nagle okazał się nieduży kraj – zamieszkały/ przez małych ludzi, w sam raz na prowincję/ zdalnie kierowaną przez imperium./ Flet szczurołapa wygrywa piękne melodie,/ głównie z repertuaru naszej małej stabilizacji./ Obiecują one globalne kino i błogie wieczory /z puszką piwa przed telewizyjnym ekranem. /Minie jedno, może dwa pokolenia i młodzi/ odkryją nieznaną ich ojcom uczucie wstydu. /Wtedy dla swego buntu będą szukać wzorów/ w dawno zapomnianej antyimperialnej rebelii.*



Uczestnicy gdańskiej manifestacji (data niezidentyfikowana) protestujący przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Fot. IPN GD

dobrego nie przyniosły. One przyniosły Polsce niepodległość! Taka jest istota tej historii. Niełatwo tę niepodległość obronić w XX-wiecznych warunkach, w takim, a nie innym położeniu geopolitycznym, kiedy sąsiedzi imperialni przekształcają się w sąsiadów totalitarnych. Nowy stopień intensywności zła powstaje wraz ze skomunizowaniem Rosji i ze zhitleryzowaniem Niemiec. Między takimi dwoma kamieniami młyńskimi Polska, nawet dozbierająca się, nawet ożywiona duchem patriotycznym II Rzeczypospolitej, nie mogła skutecznie się obronić. Ale się nie poddała! To jest z kolei istota tego doświadczenia, które zaczyna się we wrześniu 1939 r. I to jest też istota kolejnych walk o wolność, które są prowadzone – zapomniane powstanie w Czortkowie, jedyne chyba przeciwko sowieckiemu okupantowi, a potem te powstania bardziej już znane, oczywiście Powstanie Warszawskie przeciwko Niemcom i Rosji, a następnie zryw, mogące już chyba tylko symbolicznie, do pewnego stopnia, nosić nazwę powstania, a więc – 1956, 1966, 1966, 1968, 1976, 1978 i w końcu bezkrawawe, zwycięskie powstanie, jakim była „Solidarność”. Bo cóż z tego, że gen. Jaruzelski i Jerzy Urban przyjdą, żeby je zdławić. Wolność całkiem zdławić się nie dała. Została w tych, któ-

inicy, którzy nie chcą być Rosjanami, nie chcą podlegać rosyjskiemu imperium. Mamy swoje rachunki krzywd z Ukraińcami, zapomnieć o nich nie wolno, ale to, że Ukraińcy biją się z taką siłą o swoją niepodległość, jest przedłużeniem historii Rzeczypospolitej, przedłużeniem historii walki o wolność. To, że Białorusini pod butem Łukaszenki wciąż próbują się podnieść, wychodzą na ulice, może z mniejszą intensywnością, ale też reżim jest bardziej brutalny, naśladują wzór „Solidarności”. To także jest echo historii polskiej wolności, którą w czasach „Solidarności” przypomnieli posłanie I zjazdu „Solidarności” do narodów Europy Wschodniej. O tym też trzeba pamiętać, to jest bardzo ważna karta w naszej tradycji wolnościowej. Wydaje mi się więc, że to dziedzictwo wolności przynosi owoce i to już sprawa Białorusinów, Ukraińców, żeby szło dalej.

Jak jednak przenieść tę tradycję wolności do Polaków, którzy o niej zapomnieli, do młodszego pokolenia, które nie chce o niej słuchać, które się nudzi, ma zupełnie inne zainteresowania, wytworzone przez zastępujące mózgi tzw. media społecznościowe, przez najpotężniejsze portale dezinformacyjne, które konsekwentnie szkalują Polskę, polską tradycję, chrześcijaństwo. Oni wciąż są